

# We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

12

(Ciąg dalszy).

## Dwaj przyjaciele.

Tego dnia wieczera w domu Springerów przeszła w milczeniu. Dwie jedyne osoby, które zwykle podtrzymywały rozmowę i wesołość, Cezar i Albertyna, nie otworzyli ust wcale.

Cezar miał bardzo poważną minę i od czasu do czasu spozierał z litością na Helenę. Cezar grał już swoją rolę. Albertyna zaś nie śmiała nawet podnieść wzroku na swoją kuzynkę, bo czuła, jak okropnie względem niej zawiniła, ale też za to co chwila spojrzenia pełne gniewu i oburzenia posyłała pod adresem matki i doktora, którzy pozornie nie zwracali nawet na to uwagi.

Kolacja skończyła się prędzej, niż zwykle i stryjenka opuściła zaraz pokój pod pozorem, że musi doglądać wieczery dla służby; Albertyna w milczeniu wzięła do ręki książkę i zagłębiwszy się w staroświeckim fotelu, zaczęła udawać ogromnie zaczytaną. Doktor Harras, pod pozorem pokazania Helenie jakichś albumów, pociągnął ją na kanapkę, stojącą tuż przy drzwiach, prowadzących do pobocznego saloniku, a Cezar z poważną miną, tak głośno, że go wszyscy słyszeli, zwrócił się do ojca z prośbą o rozmowę w cztery oczy. Franciszek Springer, napozór zdziwiony, zgodził się na żądanie syna i obaj mężczyźni udali się do saloniku, zapominając, naturalnie całkiem przypadkowo, zamknąć drzwi za sobą.

Sam doktor musiał przyznać swym pionkom, że znakomicie odegrali powierzone sobie role. Zrazu rozmowa obu mężczyzn ograniczała się do niezrozumiałego prawie szeptu, aż wkońcu padło głośno wypowiedziane imię Heleny. Albertyna, choć udawała, że dalej czyta, nastawiła uszu; Helena okryła

się ciemnym rumieńcem i zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała odejść, ale doktor, wytrawny dyplomata, umiał ją zatrzymać przy sobie, a tymczasem za drzwiami rozmowa stawała się coraz głośniejszą i grano komedję ściśle według wskazówek nieocenionego adwokata. Cezar występował w obronie kuzynki z takim zapałem, o jaki go Helena nigdy nie podejrzewała, stary Springer podniesionym tonem wymyślał mu od dzieci, które nie powinny mieszać się do postępowania starszych. Kłótnia przybierała coraz ostrzejsze formy i zdawało się, że lada chwila przyjdzie do katastrofy. A jednak uśmiechała się ironicznie. Zbyt dobrze znała brata, żeby go posądzać o taką wielkoduszność i czuła, że tu nowe s.d.la zastawiają na Helenę, nie mogła tylko domysleć się, jakie, bo doktor, w którego oczach spodziewała się wyczytać rozwiązanie tej zagadki, miał swą zwykłą obojętnie słodką minę.

Nareszcie udało się Helenie wyrwać z rąk doktora, a raczej doktora, sądząc, że to już niepotrzebne, wypuścił ją z swojej opieki. Krótko powiedziała Albertynie dobranoc i powróciła do swoich pokojów. Czuła, że Cezar nie był dla niej ani odrobinę sympatyczniejszy, a jednak zastanawiała się, czy, wydając sąd o nim, nie była zbyt niesprawiedliwą.

Na drugi dzień młody człowiek nie zjawił się przy obiedzie, a gdy stryj Franciszek gniewnym głosem zapytał się o niego, stryjenka Amalia ze zboląłą miną oświadczyła, że syn został w swoim pokoju, bo nie jest usposobiony do wzięcia udziału przy wspólnym stole. Helenka dobrze zrozumiała, że to są skutki jego wczorajszej kłótni z ojcem i zdawało się jej, że teraz dopiero pobyt w tym domu jest dla niej niemożliwym, skoro zaczyna być kością niezgody między ojcem i synem.

W parę dni później jacyś znajomi zaprosili do siebie Springerów na wieczór. Helenka także otrzymała zaproszenie, ale wymówiła się tem, że jest jeszcze w ciężkiej żałobie. W przekonaniu, że nikt ze Springerów nie ma w domu, udała się do

salonu i siadłszy w wygodnym fotelu, poczęła czytać książkę. Po chwili usłyszała szmer kroków, podniosła oczy i ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ujrzała Cezara. Kuzyn przywitał ją z wielką powagą i tak delikatnie zapytał, czy pozwoli, aby jej dotrzymał towarzystwa, że nie mogła mu odmówić. Zaczęli rozmawiać, ale rozmowa rwała się, bo Cezar był jakiś dziwnie powściągliwy, milczący i zamknięty w sobie. Natomiast wciąż z wyrazem głębokiego smutku i politowania spoglądał co chwila na swoją kuzynkę. Przypadkowo jakoś urywana rozmowa ożywiła się i Cezar postanowił przypuścić pierwszy szturm na całym froncie.

Skromnie, ale z wielką żywością i ogniem w słowach zwrócił się do Heleny z prośbą, aby obdarzyła go zaufaniem, a nawet, jeśli może, to braterską przyjaźnią. Wyznał jej, że boleje nad jej położeniem i że dokłada wszystkich sił, aby pokonać opór doktora i wyrobić dla niej pozwolenie na powrót za ocean, ale, że dotychczas przynajmniej starania te nie przyniosły jeszcze żadnego skutku. Jemu samemu przykroby to było wprawdzie, gdyby ona opuściła ten dom, ale cóż znaczy jego przykrość, skoro ona byłaby wskutek tego szczęśliwą.

Doktor Harras miał rację! Helena była już w tem stadium zwątpienia i rozpacz, w której każda przyjaźń, nawet fałszywa, jest uważana za dobrą. I teraz, choć nie mogła pozbyć się jeszcze początkowego uprzedzenia do Cezara, życzliwszym okiem zaczęła nań spoglądać.

— Dziękuję ci, Cezarze, za twoje współczucie! — rzekła z prostotą — które jest dla mnie tem miłsze, im więcej istotnie czuję się opuszczoną i nieszczęśliwą, z czem nie kryję się nawet, ale pomocy twojej przyjąć nie mogę, bo nie chcę być przyczyną rozdwojenia między tobą, a rodzicami, tem bardziej, że ani stryj, ani opiekun nigdy nie zgodzą się na mój wyjazd do Ameryki!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

5

(Ciąg dalszy).

— Lecz musiałem pójść za panem moim... Powiedz, czyż mogę udać się do was? Gdyby to się stało w innym czasie, spełniłbym twoje życzenie; lecz teraz jest to niemożliwe. Wzywa mnie obowiązek rycerza.

Ostatnie słowa zamarły mu na ustach; pochylił głowę. Wuj przemógł wzruszenie, lecz ostrze jego miecza drgnęło.

Młodzieniec mówił dalej:

— Ciotka również okazała mi wiele dobrego i kochała mnie, jak rodzonego syna. Jakże się zasmuci, dowiedziawszy się o mojej śmierci! Gdyby to było możliwe, chciałbym ją zobaczyć raz jeszcze i podziękować. Chciałbym także pożegnać się z Janiną.

Tagenige słuchał milcząc, lecz, gdy usłyszał imię swojej córki, ukrył twarz w siodło i z oczu jego popłynęły łzy.

Młodzieniec ciągnął dalej:

— Ona również mnie kochała, wreszcie zachorowała, wuj i ciotka bardzo się o nią niepokoiли. Nie mogłem dotrzymać danego jej słowa. Zaręczyli nas jeszcze w dzieciństwie. Lecz na nieszczęście przed naszym ślubem, państwo moi, Dajmio, poróżnili się ze sobą i nagle otrzymałem rozkaz poślubienia służącej ich, Wakaby. Pani sama rozmawiała ze mną.

— Byłem zmuszony ożenić się wbrew swej woli; nie mogłem nie ożenić się z Wakabą, chociażbyście wzięli mnie za niczemnego człowieka, porzucającego swą narzeczoną.

— Przyjmijcie śmierć moją, jako karę zesłaną na mnie przez bogów.

Wuj odrzekł:

— Nie, nie, mnie a także i żonę moją ucieszyło małżeństwo twoje z Wakabą. Nawet córka moja była temu rada. Janina jest taka młoda, czyż mogła być odpowiednią dla ciebie żoną?

Usłyszawszy te słowa, Kosziro powstał, lecz z bólu upadł natychmiast na ziemię. Objął rękami kolana wuja i rzekł drżącym głosem:

— Wuju, tego już za wiele! Jeszcze dziś gniewasz się na mnie; dziś po raz ostatni widzisz zniechęconą sobie twarz. Powiedz, że mi przebaczasz. Jeśli postąpisz inaczej, ja spotkam się wtedy

z ojcem moim w życiu pozagrobowym! Wraz z przebaczeniem pójdę w drogę śmierci.

Oparł się o miecz i zbliżył się do śliwy. Zerwał kwitnącą gałązkę i podał ją wujowi, a dołączając promień swych włosów, rzekł:

— Wuju, włosy te daj ciotce na pamiątkę, a kwiaty oddaj Soszino. Jeszcze niedawno pragnęła mieć kwitnącą gałązkę z mego ogrodu. Każdego dnia pragnęłam dać jej kwiaty, lecz nie mogłam. Być może, tam również teraz kwitną śliwy... Niechaj przyjmie te kwiaty: jest w nich część mej duszy i oczami duszy ujrzę Soszino i ciotkę. Z pociechą tą umrę bez trwogi. Życzę ci, wuju, szczęścia na polu walki i długiego życia. Teraz pożegnajmy się na wieki. Jeśli nie skorzystam z tej sposobności, będzie już zapóźno.

Kosziro otarł łzy i z trudnością podniósł się. Staniając się, uszedł kilka kroków, lecz wuj schwytał miecz i krzyknął:

— Poczekaj, Kosziro.

Kosziro zatrzymał się i zapytał:

— Co chcesz uczynić?

— Dokąd, dokąd ty? — krzyknął wuj.

— Na pole walki — brzmiała odpowiedź.

Wówczas wuj rzucił gniewnie:

— Milcz, tyle czasu przekonywałem cię, a ty wciąż mówisz o śmierci.

Uśmiechnął się lekko.

— Jeśli tak nienawidzisz życie, pocóż masz koniecznie na pole bitwy? Ja, wuj twój, będę twoim przeciwnikiem; chociaż jestem stary, miecz takiego, jak ty człowieka, nie trafi w pierś moją. Uciawszy mi głowę, możesz iść w bój, lecz póki jestem tutaj, nie postąpisz kroku. Więc, naprzód!

Skierował swój miecz na Kosziro.

— Smutna walka — rzekł młodzieniec.

Wuj, który mówił dotąd tak śmiało, nie był w stanie ukryć boleści. Głos jego drżał, gdy zakrzyknął:

— Smutno, co w tem smutnego? Boisz się? Dalej, naprzód! Ja niczego się nie obawiam. Czemu nie chcesz ze mną walczyć?

— W żaden sposób nie będę się z tobą bił. Przebij mnie swoim mieczem, błagam cię.

Wuj odrzekł:

— Nie zabijam bezbronnego. Bij się na placu boju lub tu, wszystko jedno. Zarówno tutaj, jak i tam zginać można.

Kosziro odrzekł:

— Nie mogę tego uczynić. Przeciwnikiem moim — drogi wuj a miecz mój odziedziczyłem po ojcu. Czyż mogę walczyć z tobą tym orężem?

Miecz był rzeczywiście dobrą bronią, którą Kosziro odziedziczył po swym ojcu, Morimichi. Ujrawszy miecz brata swego, wuj przypomniał sobie ostatnie jego słowa: „pozostawiam ci syna mego, mego syna, Kosziro“.

Teraz stał przed nim Kosziro, cały poraniony. Wuj rzucił miecz na ziemię i załkał głośno. Tymczasem na polu bitwy wszystko przycichło. Nagle na nowo rozległy się okrzyki zwycięskie: wznoszące się ku niebu.

Kosziro padł na kolana i wykrzyknął:

— O, niebo!

Schwycił miecz i chciał nim przebić sobie gardło.

Wuj ścisnął dłoń jego i rzekł:

— Nie spiesz się tak. — I odebrał mu miecz. Podbiegł żołnierz wuja i padł na kolana przed swym panem.

— Wielkie zwycięstwo. Nieprzyjaciół cofnął się. Hurra!

Żołnierz spojrział na pochyłą ku ziemi twarz Kosziro.

— Panie Kosziro, dawnom już ciebie nie widział.

Kosziro z trudnością podniósł głowę i rzekł:

— To ty, Szinroku?

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Czyś ciężko raniony?

Żołnierz odwrócił się do swego pana i spostrzegłszy, że ów płacze, zasmucił się również. Wuj rzekł żołnierzowi kilka słów do ucha.

Szinroku kiwnął głową i podszedł do ranionego.

— Panie Kosziro, podprowadzę pana.

Wuj rzekł:

— Teraz pójdziesz do mego domu.

Morizao był tak osłabiony, że nie mógł sprzeciwić się temu. Siadł na barki żołnierza i rzekł ze smutkiem:

— Żegnaj wuju!

Wuj kiwnął głową, lecz wróciwszy się do żołnierza, dodał:

— Bądź uważny, Szinroku.

— Dobrze — brzmiała odpowiedź.

Tak rozstali się wuj z bratankiem.

Trupy zabitych żołnierzy leżały na ziemi; głowy wisiały na drzewie. Nad brzegiem szumiła trzcina i z liści jej spadł śnieg. Dwie czaple wzniosły się.

(Ciąg dalszy nastąpi).